



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Każdy wie o tem, że wrażenie głosu powstaje w skutek wstrząśnienia błony bębenkowej w uchu. Częsteczki powietrza, wprowadzone w drganie silniejsze lub słabsze, uderzają o tę błonę i ruch w niej budzą, a ten za pośrednictwem nerwów właściwych dostaje się do mózgu i wywołuje zjawisko słuchu. Ale można sztucznymi sposobami wytworzyć

złudzenie tego zmysłu, wprowadzając w nadzwyczajne drganie błonę bębenka, chociaż w pobliżu żadnego huku gwałtownego nie ma.

Rysunek nasz tak dokładnie przedstawia sztuczkę podobną, że opis tu jest prawie zbyteczny. Do wykonania potrzebne są dwie osoby. Jedna przyciska mocno uszy rękami, druga przeciąga tasiemkę po wierzchu tych rąk i dokoła głowy, jak wskazuje rysunek, lewą ręką trzyma dwa końce tasiemki, prawą ściska ją lekko w dwóch palcach, przesuwając je zwolna wzdłuż. Można także paznokciem przyciskać i poruszać tasiemkę, chwytając ją i wypuszczając szybkim ruchem, wszystko to wywołuje w słuchu osoby, trzymającej ręce na uszach, wrażenie nadzwyczajnego łoskotu i huku, jakby grzmotów i piorunów.

Gdyby się to doświadczenie nie udało odrazu, nie należy się zrażać, lecz próbować rozmaitemi sposobami tasiemkę pocierać i wstrząsać, aż póki się nie natrafi na sposób właściwszy. I uszy także szczelnie rękami przykryć należy, ale nie naciskać znów na nie zbytecznie. Wprawa, powtarzane kilkakrotnie próby, najlepsze dadzą wskazówki. My tylko upewnić możemy, że doświadczenie to, zręcznie wykonane, bardzo jest zabawne, gdyż wywołuje zadziwiające złudzenie słuchu, zupełnie naśladuje gromy i pioruny podczas najgłębszej ciszy.

Z ODGŁOSÓW WIEJSKICH.

Stoi sobie pacholę, jasnowłose, małe,
I spogląda na pole, na pszeniczną falę,
Na te kłoski wysmukłe i patrzy za niemi,
Jak się złocą i mieniają, jak się gną ku ziemi.

* * *

Siedzi sobie i myśli, małą główkę chyli,
Co też tatuś i matka tam w chacie mówili,
Że zamało pszenicy, że zabraknie chleba,
I że w obce krainy wywędrować trzeba.

* * *

Przyszli Niemcy do chaty, dawali pieniądze,
Duże białe papierki i żółte mosiądze.
„Ej, sprzedajta, mówili, my dobrze zapłacim,
Wy pójdziecie na wander, a my się wzbogacim.”

* * *

Gdzie tam ojcom wędrować, dziś, na stare lata,
Kiedy tutaj grunt własny, i ogród, i chata,
A tam pono daleko, pono puste pole,
Może chleba nie znajdą, tylko gorszą dolę?

* * *

Czyż nie szkoda tak rzucać tej rodzinnej ziemi,
Co ją pracą zdobyli i łzami własnemi?...
I czy serce nie pęknie, gdy ten kąt nam miły
Zdepcą Niemcy, i rolę, i ojców mogli?

* * *

Oj! że żal im, to widać, matuś smutni bardzo,
Płaczą ciągle po kątach, nawet jadłem gardzą,
Ojciec siedzi sam w chacie, choć wyjrzy na błonie,
Tylko głowę pochyli i załame dłonie.

* * *

Żebym to ja był duży, tatusiu rodzony,
Tobym Niemców rozpędził, he! na cztery strony;
Żebym to ja co umiał, tobym znalazł radę
I rozjaśnił uciechą matki liczko blade.

* * *

Żeby to mnie małego nauczył kto przecie,
Jak to trzeba pracować na tym Bożym świecie,
Jak tę rolę uprawiać i co trzeba robić,
Żeby pracą, choć krwawą, własną chatę zdobyć.

* * *

Gdzież się udać po radę? chyba tam we dworze
Pożalują mnie państwo; cicho drzwi otworzę
I pokornie się skłonię tej jaśnie panience,
Co to chodzi w prześlicznej, niebieskiej sukience;

* * *

I zapytam się grzecznie, panicza poproszę,
Jak to trzeba pracować na te srebrne grosze,
Jak tę ziemię obrobić, i co czynić trzeba,
Żeby w chacie starczyło na kawałek chleba?

* * *

A jak panicz nauczą, to się tak ucieszę,
Że do ojców przez pola przedziutko pośpieszę,
I zawołam: nie miejta już przed Niemcem lęku,
Wszak będziemy z paniczem orać ręką w ręką.

Gabryela Jasińska.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,

spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

Miasteczko Kazimierz.

Śpichrze jeden za drugim w szeregu przy drodze stoją, niektóre prawie rozsypane, niektóre mocno uszkodzone, lecz są i takie, które jako tako podtrzymane służą do schronienia różnych rupieci.

Kazimierz w dziejach handlu zbożowego miał wielkie znaczenie, założony był w celu ześrodkowania tegoż handlu, a że punkt był doskonały, bo ponad spławną Wisłą i wpośród żyznej okolicy, więc też wzrastał bardzo szybko. Kupcy z Torunia, Gdańska, Elbląga, a nawet i z Anglii zjeżdżali się tutaj po zakupy ślicznej, złocistej Sandomierki naszej; był Kazimierz małym Gdańskiem nazwany. Wtedy to król, dbając o to, aby przywiezione zboże nie ulegało zepsuciu pod gołym niebem, kazał wystawić z wapienia kilkadziesiąt takich śpichrzy olbrzymich, z których siedmnaście jeszcze widzieć można.

Dogodna przystań dla statków urządzona była w pobliżu. Długo czas Kazimierz posiadał powagę i znaczenie, aż dopiero gdy w wieku XVI Gdańsk zyskał sobie wyłączny przywilej na skład zbożowy, znaczenie to upadło, śpichrze powoli rozpadały się w gruzy, ludność się zmniejszała, w 1656 roku zrabowany był przez Szwedów za panowania Karola Gustawa, a w 1705 morowa zaraza bardziej go jeszcze wyludniła. Ślady dawniejszej zamożności znać jednak do dziś w kilku kościołach i okazałych kamienicach.

Powoli po szkaradnym bruku dotarliśmy do rynku, na którym w mgnieniu oka kilku żydków faktorów nas otoczyło, ofiarując nam swoje usługi w przewodnictwie; ale ponieważ to zupełnie było zbyteczne, bo ojczulkowi każdy kamyk był znany, więc odprawiwszy ich grzecznie i poleciwszy woźnicy udanie się do jakiego zajazdu, sami zwróciliśmy się ku głównemu kościołowi, ku farze, której proboszczem był znajomy ojca, sędziwy ks. Kaszewski.

Nastąpiło zapoznanie, kilka serdecznych słów od miłego nad wyraz staruszka i udano się wraz z nim i organistą do kościoła, który też dawnych sięga czasów. Styl gotycki, okna wąskie ale wysokie, rzucały dość światła do wnętrza, dawne rzeźbione stałe przy ołtarzu, figura p. Jezusa na krzyżu, podobno z płótna zrobiona, zwróciły naszą uwagę. Przypatrywaliśmy się też rzeźbionej ambonie, rozmawiając przytem pocichu, gdy nagle zabrzniał głos organów! Dźwięki te tak niespodziewanie spłynęły do nas z pod wysokiego stropu, a były tak dziwnie przejmujące, iż naturalnie rozmowa ustała a my pogrążyliśmy się w zadumie przez cały czas trwania wspaniałego hymnu do Boga.

Powiedziano nam później, iż organy w tym kościele należą do najznakomitszych w naszym kraju, stylem swym zastosowane są do budowy ogólnej; głos mają prześliczny, pełny i dźwięczny. Serdecznie dziękowaliśmy księżulkowi za taką przyjemność i rozstawszy się z nim, podążyliśmy ku ruinom, bo właśnie droga do nich tamtędy prowadzi. Wejście łatwiejsze niż na Bochotnicę, ale także dość spadziste, a na szczycie spotkała nas miła niespodzianka. Malarz L. dobry znajomy nasz, znajdował się tam właśnie wraz z dwoma swoimi siostrzeńcami, studentami uniwersytetu, jeden petersburskiego, a drugi moskiewskiego.

Po przywitaniu i przedstawieniu wzajemnem, przyglądaliśmy się obszernemu widokowi, p. L. znał to wszystko doskonale, gdyż niejednokrotnie miejsca te zwiedzał i na płótnie uwieczniał, lecz wybrał się w celu zapoznania swych siostrzeńców ze słynniejszym i godniejszym widzenia miejscowościami w tych stronach; byli też zaopatrzeni w notesiki, przytem jeden z nich miał puszkę blaszaną na rośliny, a drugi na owady.

Ruiny zamku Kazimierza są nieco większe od poprzedzających, ale nie widać ani śladu jakiegokolwiek starania w celu ich utrzymania. Czemuż nie jestem magnatką? myślałam sobie, zarazbym przeznaczyła jakąś sumę na odnowienie i zachowanie w całości tych dawnych zabytków przeszłości. Było tu za pięknie, za wesoło, żebym mogła długo samotnie rozmyślać, to też zbliżyłam się do Broni, wyglądającej przez jeden z otworów i długą chwilę z niemyim zachytem przypatrywałyśmy się temu samemu niby krajobrazowi, a jednak tak różnemu z każdej strony.

Kazimierz górny imponuje kościołami i wyniosłymi kamienicami w rynku, a dolny tonie w zieloności drzew owocowych, szczególnie śliwek, z doskonałości których słynie. Jak cudnie musi tu być na wiosnę, gdy cała ta masa drzew pokryta jest białem kwieciami, a jak przyjemnie w jesieni, gdy zbierają dojrzwały owoc, ładują na galary i wyprawiają w rozmaite strony.

Po drodze do owej odosobnionej baszty, którą z Bochotnickiego zameczku było widać, a która na zupełnie innym wzgórzu się znajduje, uprzejmi młodzieńcy nazbierali kwiatków i ułożywszy z nich małe bukiety, ofiarowali nam, jakby na pamiątkę tylko co zawartej znajomości. W chwili gdy brałam do ręki tę wiązanek, przypomniało mi się co przyrzekałam méj nauczycielce botaniki, iż zawsze o zbieraniu roślin pamiętać będę, zasuszając je tak dla niej, jako też i dla siebie. Zapomniałam o tem zupełnie, że wstydem przyznać się muszę, ale byłam tak oszołomiona tą podróżą, wrażeniami, że nie pomyślałam o przyrzeczeniu, lecz gdy już przypominałam sobie, chciałam wynagrodzić tę opieszałość gorliwością zdwojoną i zabrałam się natychmiast do wydobywania z korzeni: *ostrożki*, *delphinium*, *tojadu*, *aconitum*, *srebrnika*, *potentilla*, *goździków* i innych roślin.

Ponieważ nie miałam ze sobą szpadelka, więc nie myśląc długo, zaczęłam wrzucać ziemię parasolikiem, do czego widocznie nie był przyzwyczajony biedaczek, bo pękł szkaradnie po samym środku. Na ten tragiczny wypadek wszyscy zwrócili uwagę, a w szczególności p. Stefan, ów młodzieńiec, zajmujący się botaniką, który też w odpowiedni przyrząd był zaopatrzony i gdyby nie to, że właśnie ponad urwistym parowem wydobywał piękny rozchodnik, *sedum*, byłby mnie uchronił od zepsucia niezbyt potrzebnego mi zresztą parasolika. Kapeluszyk duży wybornie mi twarz osłaniał, a choć i słońce zajrzało, to nie gniewałam się wcale, bo opalenia się nie boję. Pan L. wzięwszy z méj ręki ten złamany okaz, a obejrzawszy dokładnie orzekł, iż to łatwe da się sporządzić i że sam się tem zajmie, gdy do miasta zajdziemy, a tymczasem podjął się smutne szczątki nieść dalej.

Idąc przez parowy, zarośnięte kwitnącym żółto berberysiem i białym powojnikiem *climatis vitalba*, wonnym i bujnie zarośniętym, prześcigaliśmy się w dążeniu na wzgórze; młodzieńcy byli nam pomocą, podając ręce przy trudniejszych przejściach, a my za to opowiadałyśmy im naprzemian, co w Puławach jest widzenia godne, jakie mamy projekta jeszcze, jakie wycieczki przedsiębrać zamyślamy. Żalowali bardzo, że już byli w Janowcu, bo chętnieby nam byli towarzyszyli. Rozleglejszy jeszcze krajobraz widać od baszty, bo ta wyżej stoi i tuż prawie nad Wisłą; była tu podobno urządzona latarnia na wzór morskiej, dla wskazania przystani zapóźnionym żeglarzom.

Spór naukowy wszczął się między nami, a młodzieńcami świeżo poznanymi z powodu podania o Maćku Borkowiczu, który na śmierć głodową przez króla Kazimierza skazany został za różne występki. My dowodziłyśmy, że to właśnie do tej baszty był ten nieszczęśliwy spuszczone, a oni że do takiejże baszty w Olsztynie. Powaga starszych panów spór na naszą korzyść rozstrzygnęła, jakkolwiek nie chcieli i oni odpowiedzialności, za te zamierzone dzieje przyjmować. Ślady wykutej w skale studni są też jeszcze widoczne.

Przez czas naszego rozglądania się wokoło, pan L. odwołał jednego ze swych siostrzeńców, rażnego Witolda i rozporządzenia mu jakieś dawał, w następstwie czego on zbiegł

z góry jak strzała i znikł nam z oczu. Za chwilę i przez nas wykonany został odwrót i nastąpiło wejście na rynek, w głąb którego prowadzili nas panowie przewodnicy. Póki żyć będę nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarł na mnie widok dwóch wspaniałych, starodawnych oryginalnych kamienic. Trudno uwierzyć nie widząc, aby coś podobnego mogło się w tej nędznej, lichiej miejscinie znajdować. Obie te sławne kamienice stoją jedna przy drugiej, są dwupiętrowe, jedna z nich, z wyobrażeniem wyrzeźbionej postaci Św. Mikołaja jest własnością prywatną, a druga, ze wspaniałą wypukłorzeźbą Św. Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu i na olbrzymiej sośnie wspartego, należy do Magistratu i to od czasów bardzo dawnych, o czym świadczy dzwon w zagłębieniu dachu na samym środku umieszczony.

Oprócz tych głównych postaci, cały fronton jest dosłownie pokryty wyobrażeniami różnych fantastycznych postaci; tu widać aniołka, tam znów jakiś zły duch się wychyla lub nieznane zwierzę, jednym słowem panuje rozmaitość niesłychana; kwiaty i liście dodane są w miejscach próżnych, a fryzy dopełniają całości u góry. Zdumiona i zachwycona, przypatrywałam się długo, nie mogłam oczu oderwać od tych zabytków; niewiele jeszcze widziałam w życiu, ale zdaje mi się, że niewiele podobnych rzeczy napotkać można na świecie. W niezwyczajnym zapale wyciągałam książeczkę, chcąc rysować, ale spostrzegłam natychmiast swoją niedorzeczność, i chowałam czemprędzej te bazgroły, aby malarz p. L. nie spostrzegł i nie brał mi za złe, iż się porywam nie na swoje rzeczy.

Odrysować taką kamienicę, to musi być praca nielada, tyle szczegółów i takich trudnych; a jednak byli ludzie podobno, co jaknajwieruię wszystko skopowali i potem w piśmach ilustrowanych umieścili; nie spotkałam się z temi rysunkami nigdy, więc miałam najzupełniejszą niespodziankę, bo ojciec i Bronia nie wspomnieli mi o tem ani słówkiem, choć dobrze o tych skarbach wiedzieli. Pan L. poprowadził nas jeszcze na inną ulicę na prawo, gdzie znajduje się jeszcze jedna kamienica, która choć bez figury żadnego świętego, lecz ozdobiona suto rzeźbami i płaskorzeźbami, również cenny zabytek stanowi. Niegdyś należała do Kapituły.

Po obejrzeniu wszystkiego, pan L. zaprosił nas uprzejmie do swego mieszkania w gospodzie pod Lipą, twierdząc, iż jemu, jako bawiącemu tu już od trzech dni, obowiązki gospodarza wypełnić względem nas wypada.

(d. c. n.)

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— Jedziemy, jedziemy, pakujemy rzeczy! — wołała Helenka, przywitawszy się ze starym przyjacielem — wakacje tuż, tuż, za pasem, ach! jak pomyślę, że niezadługo będę w Zakopanem, obaczę Tatry, czasem uwierzyć mi trudno, ażeby to była prawda.

— Poczekaj — rzekł Wacław — jak się wytrzęsiesz porządnie na wózku, jadąc z Nowego Targu, to z pewnością nie weźmiesz tego za sen. Ja już znam tę drogę, jeździłem przecież dwa lata temu ze strykiem do Zakopanego. Nie jestem delikatny, ale nieraz, jak góral Wojtek zaciął konie, to mi się zdawało, że głowa z karku zlatuje.

— Ej, głowa nie zleci, a ja tam nie pomyślę nawet o żadnych niewygodach, gdy raz na własne oczy obaczę te kochane Tatry.

— Byle tylko Helenka pośród tych zachwyty o roślinach nie zapomniała — odezwał się p. Adam — przecież mam obiecaną zielnik.

— Już niech pan będzie spokojny, co przyrzekałam, to spełnię święcie. Zapisalam sobie co do słowa wszystkie szczegóły, które p. Adam ostatnim razem opowiadał, nie

a nic nie zapomnę. Ale czy to w Tatrach niema już więcej osobliwych roślin? bo mój spis nie jest znów zbyt długi.

— Ho ho! żebym ja chciał wszystkie piękne górskie rośliny wyliczyć, spis byłby zanadto długi i nie potrafiłabys tego spamiętać. Wspomniałem tylko niektóre, co mi przyszły na myśl podczas naszej rozmowy.

— O, panie Adamie kochany! — wołała Helenka, składając ręczki błagalnie — ja mam dobrą pmięć, nie chwale się, bo mi to nauczycielka nieraz powtarza. Niechże pan opowie jeszcze o jakich pięknych kwiatach tatrzańskich, żebym je poznać mogła, gdy napotkam.

— Niedługo mnie zachęcać trzeba do podobnej gawędy — mówił z uśmiechem staruszek — rośliny, to moja słaba strona, a kwiaty górskie najsłabsza. Jeszcze też nie zdążyłem przy ostatniej rozmowie wspomnieć o kilku bardzo ciekawych i osobliwych okazach, miałbym na sumieniu, gdybyście je pominęli z powodu niewiedomości. Jest naprzykład gatunek ostu prawdziwie wspaniały, bo i rozmiary ma olbrzymie i kształt niezwykle, dziwaczny, a taki uroczy w tej swojej fantastyczności. Gdy po raz pierwszy ujrzał na Gubałówce, wzgórzu pod Zakopanem, kwitnącą kąsinę bezłodygową, *Carlina acaulis*, taka jest nazwa tej rośliny, ostupałem z podziwu. Wygląda to bowiem na jakąś potworną zwierzęcą istotę, pełzającą po murawie z łapami rozłożonymi na wszystkie strony. Równie jak i inne osty, należy do rodziny złożonych, kwiatogłówka płaska, leżąca na ziemi, bo niema prawie łodygi, dochodzi wielkości talerza, kwiatki srebrzysto białe otoczone są dokoła obszernym kielichem, rozstrzępionym w liczne żdźbелki, także białawe, lub słomianej barwy. Liście cierniste, obszerne, wycinane głęboko, rozkładają się na ziemi. Kąsina kwitnie dopiero przy końcu Sierpnia i we Wrześniu.

— O mój Boże! — zawołała Helenka — żebyż tylko zakwitła, nim my z Zakopanego wyjedziemy. Bo przecież nie przeszedłabym obok takiego kwiatuszka, nie zwróciwszy nań uwagi.

— Wcześniej, przez całe lato prawie, kwitną prześlizne goryczki, *gentiana*, prawdziwe górskie rośliny. U nas tu pod Warszawą jedna tylko ich krewniaczka przebywa, zwana powszechnie centurją, a także tysiącznikiem, o ładnych kwiatach różowych, w baldaszkogrona zebranych. Cała ta rodzina ma cechę wspólną, korzeń gorzki, stąd nazwa goryczek. Największy gatunek dochodzi kilku stóp wysokości, kwiaty ma żółte, niezbyt piękne, lecz korzeń ceniony jest z leczniczych własności. O tę żółtą nie idzie mi tyle, chociaż rośnie dość obficie w Tatrach, najpiękniejsze dla mnie są goryczki błękitne, malutkie roślinki; jeden gatunek, *gentiana acaulis*, prawie bez łodygi, przy samej ziemi kwitnie. Kwiatek ten ma wdzięk nieporównany, korona rurkowata, rozłożona w kształcie gwiazdeczki, wygląda zupełnie, jakby jasne oczko błękitne, łagodnie z trawki wyzierające. Dużo jest pięknych kwiatów niebieskich, szafirowych, o różnych odcieniach błękitu; wszak i nasze bławatki zachwycają oko żywą swą barwą, zwłaszcza wśród zboża i obok maków purpurowych, odbijają ślicznie. Lecz zdaje mi się, że żaden kwiat w świecie nie wyrównywa czystością, jasnością błękitu, tej cudnej górskiej goryczce. Na szczęście zasusza się bardzo dobrze, przy starannej przemianie bibuły nie traci nawet barwy, chociaż zapewne zasuszona dorównać nie może żywej.

— Dołożę wszelkich starań, aby tę śliczną goryczkę jaknajlepiej zasuszyć — rzekła Helenka — i otóż znów parę roślin ciekawych poznałam bliżej z łaski p. Adama.

— Zbierając na wyniosłych stokach wierchów goryczkę bezłodygową — ciągnął dalej staruszek — natrafisz zapewne niedaleko na gwoźdźczek górski bezłodygowy, *dianthus alpinus*, różowy, o kwiatach dużych, pojedynczych na malutkim krzaczku, tak samo, jak goryczka. Dużo jest podobieństwa pomiędzy obiema temi roślinkami, a barwy ich mile przy sobie odbijają. Okazalsze goździki, duże, postrzępione i pachnące pięknie, znajdziecie w obfitości w dolinach i na niższych wzgórzach, tak zwanych reglach. Mnóstwo ich zrywałem na Gubałówce, a obok nich rosną zwykle go-

ryczki łąkowe, o kwiatach lila, różowawych i białych, goryczka równinowa, której kwiat duży, szafirowy, wygląda jakby sfałdowany!

— I pomyśleć, że ja nic o tych goryczkach nie wiedziałam, i byłabym pojechała do Zakopanego, nie wiedząc o nich!...

— No i cóżby się stało? — przerwał Wacław — paradna jest moja panna siostra; do wszystkiego zaraz takie ogromne przywiązuje znaczenie, wszystko u niej zawsze jest czemś tak ważnem, tak ważnem?

— A ty znów lekceważysz wszystko — odparła siostra obrażona — nie wiem, co lepsze.

— Wszystko najlepsze jest w miarę — pośpieszył spór przerwać p. Adam — ja zaś nie mogę dziwić się Helence, że do znajomości kwiatów wielkie przywiązuje znaczenie, bo potępiłbym swoje własne upodobania. Ażeby już nie opuścić najznakomitszych przynajmniej górskich kwiatów, wspomnę jeszcze astrancję, rosnącą w dolinach, w pobliżu Zakopanego. Roślina ta bardzo ozdobnie wygląda, na wysokości, wysmukłej łodydze wznosi się baldaszek, z białoróżowych kwiateczków złożony, należy też do licznej rodziny baldaszkowych, chociaż z pozoru znacznie się od nich różni, bo ma kwiatki gęsto skupione. Liście duże, wycinane, są opatrzone drobniutkimi kolcami. Na mokrych łąkach napotkacie czerwien łąkowy, *calla palustris*. Liście sercowate tej rośliny i kwiateczki, otulone białawą pochwą, jakby tutką, przypominają pokrewny zamorski gatunek, hodowany w doniczkach, lilian etyopski, *calla aethiopica*. Po okwitnieniu w pochwie pozostają jagódki czerwone.

— Tylko niechże p. Adam się nie zatrzymuje i wylicza dalej — prosiła Helenka — ja spamiętam, doprawdy spamiętam i zresztą zapiszę wszystko.

— Na bagnistych łąkach pod Zakopanem znajdowałem zajmującą niezmiernie roślinkę, choć niepozorną. Kwiateczek fiolkowy nieforemny, z długą ostrogą, pochyla się zabawnie na łodyżce wysokiej, cieniutkiej jak nitka. U dołu przytula się do ziemi różyczka liści korzeniowych, grubych, tłustych, zkąd nazwa roślinki: tłustosz, *pinguicula* po łacinie. Utrzymują dziś botanicy, że te listeczki chwytają i połykają drobne muszki i tłustosz zaliczony jest do roślin owadożernych, o których słyszeliście zapewne.

— O tak, czytałem o tem w „Wieczorach Rodzinnych” — rzekł Wacław — w roczniku dawniejszym, Helenka wtenczas jeszcze tylko dodatki dla dzieci czytywała.

— Czytałam jednakże ten artykuł o roślinach owadożernych w oprawnym roczniku.

— A teraz naprawdę już dosyć — rzekł p. Adam — jeżeli Helenka odszuka i zasuszy wszystkie te kwiaty, które tu wyliczyłem będzie miała dosyć. Ba! zapominałem tylko, opowiadając o osobliwościach, wspomnieć choć słówkiem kwiat najpospolitszy w Tatrach, chociaż i tu u nas napotkać go można. Jak tylko przyjedziecie, uderzy oczy wasze moc niepoliczona jaskrawo różowych mieczyków, pokrywających łąki, pola owsem zasiane, pastwiska. Wszędzie ich pełno, wszędzie rumienią się zdaleka, górale nazywają je „cebula”, bo korzeń mieczyka jest cebulkowy. A bratki! Ach, nigdzie u nas nie widać tak pięknych, dużych, barwnych bratków dzikich; wyglądają niekiedy, jak ogrodowe. Ale o tych kwiatach tatrzańskich możnaby gawędzić i gawędzić bez końca, to przedmiot niewyczerpany, a na dziś doprawdy już dosyć.

M. J. Z.

Jaskinia Mamutowa.

Olbrzymie to podziemie, zaliczone do najosobliwszych cudów przyrody, było już dawniej opisane szczegółowo w „Wieczorach”. Tu więc tylko w krótkości wspomnimy, że grotę Mamutową, której rozmiary przewyższają wszystkie znane podziemia, znajduje się w Ameryce północnej, w sta-



Jaskinia Mamutowa.

nie Kentucky, o kilka mil od miasta Louisville. Zwiedzenie tak rozległego podziemia jest prawdziwą podróżą; trzeba przebywać mnóstwo przejść krętych, nieraz tak wązkich, że ledwo się przez nie przecisnąć można.

Za to postępując dalej, napotyka się coraz wspanialsze widoki, ogromne sale i galerye, ściany kamienne tak wysokie, że trudno dojrzeć sklepienia, głązy dziwacznych kształtów, przepyszne stalaktyty, rzeki i jeziora podziemne, po których żeglują łodzie przy świetle pochodni. Jaskinia Mamutowa ukrywa się w głębi niezmiernie lasu, jednego z tych lasów amerykańskich, które właściwie nazywane są puszcza leśną. Rycina nasza przedstawia wejście do podziemia, nadzwyczaj malowniczo wyglądające, jakby czelusz czarna, niezgłębiona, rozwarta wśród zielonych gąszczów. Małe źródło sączy się nieustannie ponad tym otworem, wygląda tak zupełnie, jakgdyby usiłowało zamknąć drogę przed zuchwalcami, którzy się chcą wdrzeć do podziemia i szmerem swym tajemniczym ich przestrzegało.

SŁAWNI W PIŚMIENNICTWIE.

p. Z. MORAWSKĄ.

Adam Naruszewicz.

Nie w smak by z pewnością uczącym się poszło, gdyby im kto zadał jakiś temat i żądał opracowania go wierszem? Z pewnością postępując za wychodzącymi z klasy, usłyszeliśmy taką rozmowę:

— A to dziwny ten X. czyż można tak na zawołanie sypać wierszami.

— Nibyż to każdy ma zdolność do poezyi.

I słusznie, nie każdy ma zdolność poetycką, lecz była chwila, kiedy pisanie wierszy nazywano sztuką rymotwórczą, a chcąc wykształcić młodzież w tej sztuce, kazano im składać wiersze czyli rymować na zasadach raz wyuczonych. Smutne to były wiersze, bez natchnienia, bez polotu poetyckiego i przejęcia się przedmiotem, dobierano rytmy i rymy,

a takich utworów pozostawił nam bardzo dużo okres panagieryczno-makaroniczny czyli pseudoklasyczny wieku 17. Profesor zaś poetycki w akademii wileńskiej, a później w *collegium nobilium* na Starem Mieście w Warszawie, ksiądz Naruszewicz był tego zdania, że chcąc zrozumieć poetykę trzeba samemu składać wiersze. Zadawał więc rymowanie uczniom i sam dla wprawy rymował, tylko, że z tych jego wpraw urastały znakomite obrazy, kreślące wady owoczesnego społeczeństwa. I tak urosła satyra, która jak mówi ksiądz biskup warmiński:

Satyra w szczególności nikomu nie łąje
Wielbi króla, czci naród, gani obyczaje.

A Naruszewicz w swoich satyrach rzeczywiście gani te obyczaje, nie owijając w bawełnę, a jako kaznodzieja i pedagog wypowiada prawdę, bolejąc zarazem nad upadkiem społeczeństwa.

Lecz zobaczymy jak się Naruszewicz przygotowywał do tego, aby zająć to stanowisko w literaturze jakie mu się słusznie należy.

Adam Naruszewicz urodzony w Pińsku roku 1733, po chodził z rodziny bogatej, Adamowi jednak za całe bogactwo dostała się troska o chleb powszedni. Uczył się więc z tą myślą, żeby jak najprędzej zdobyć jakąś wiedzę, a przy jej pomocy stanowisko w społeczeństwie. Bardzo był młodziutkim, gdy wstąpił do zakonu jezuitów, którzy widząc w nim wielkie zdolności wysłali na naukę do Lugdunu. Gdy wrócił do kraju zastał wtedy Czarotoryskich krzającą się około wychowania publicznego, szukali oni na wszystkie strony zdolnych ludzi, którymby mogli powierzyć wielkie dzieło nauczania młodzieży. Zwrócili więc wkrótce oczy na młodego zakonnika, a chcąc mu dać jak najszerzy pogląd na świat i ludzi, a tym sposobem zjednać krajowi dzielnego pracownika, wysłali go po raz wtóry zagranicę. Naruszewicz w Niemczech, Włoszech i Francji kształcił się znowu, badał rozmaite sposoby nauczania, zagłębiał się w dzieje ludów, starożytnych, z ich życia nabierał doświadczenia, umiejętności spoglądania na społeczeństwo, dopatrywania wad jego, a wskazywania wielkich i szlachetnych celów. Nic więc dziwnego, że z taką wiedzą i z wrodzonym sobie dowcipem zwrócił na siebie uwagę króla literata mecenasa sztuk pięknych i nauk, jakim był Stanisław August. Mimo to jednak, że król prawie obejść się bez Naruszewicza nie mógł, usuwał on się jednak od dworu i w skromnej celi *collegium* tłumaczył historyka rzymskiego Tacytę, spisując prócz tego bardzo dużo notatek do dziejów naszych. Nie zaniedbywał jednak i poezji. Sypał jak z rękawa satyry i pełne dowcipu porównania, które częstokroć były doskonałą przyprawą towarzyskiej zabawy podczas obiadów czwartkowych u króla.

Do tych prac swoich tak się przywiązał, że kiedy pożar objął gmach *collegium*, w którym mieszkał, zapakował on w beczkę wszystkie swoje rękopisy i wydstawwszy ją z wielkim trudem z zajętego ogniem gmachu, toczył ją przed sobą, zapominając, że tam wśród pożaru ginie całe jego szczupłe mienie. Po zniesieniu zakonu jezuitów roku 1773 ujrzał się rozbitkiem i gdyby nie opieka króla ciężkie byłoby życie Naruszewicza. Lecz Stanisław August wyrobił mu probostwo na Litwie, gdzie w dalszym ciągu Naruszewicz kreślił obrazy pozostawionego społeczeństwa w stolicy. Społeczeństwo to zdala wydawało mu się jeszcze gorsze aniżeli wtedy, gdy na nie patrzył. Nie miał bowiem przed oczami tej powierzchownej ogłady, którą nieraz odziewano złe kryjące się pod ułudną powłoką dworszczyzny. Nie zważając więc na wszelkie względy, wylewa całą złość, całą swą boleść, jaką przejmują go owoczesne obyczaje, a w swoich „Redutach” przemawia:

„Powiedziałbyś, że to pan — istnać to hołota
Kryje się wśród jedwabiu i jasnego złota.
Zostawił ci mu ojciec smażyniechę szczery,
Jedząc chleb za pieczyście, rzodkiew za selery,
Kilka włości obszernych, jak testament pisze:
Teraz przy nim już tylko został klucz *Hołysze*,
Wioseczka *Pożyczanka* z karczmą *Nieoddajem*,

Reszta poszła chwalebny świstaków zwyczajem...
Teraz u kominarza stu talarów szuka,
U stróża wziął dwanaście, dziesięć u hajduka;
Dziesięć z płaczem wycisnął, co pod świętym Janem
Przedaje baba krupy, siedząc pod straganem.”

W inną znów satyrze pod tytułem: „Pochlebstwo przedstawia ugrzecznionych, a zbytnio każdemu schlebających ludzi:

„Jeden mówił: prawdziwie, tyłem od chłopięcia
Zwiedzał dworów, a nicem w życiu, *Excellentia*,
Nie widział podobnego, jak pańskie mieszkanie.”

Dalej zaś wyśmiewa popisywanie się antenatami, które często dochodziło w owym czasie do najbezrozumniejszych bredni.

„Któż nad pana naszego z większym się postawi
Imieniem? Nasz pan w domu, bez długich wywodów,
Mendel ma kasztelanów, kopę wojewodów;
Ma pół tuzina lasek, kluczków i pieczęci:
Od tysiąca lat trzeba zasięgnąć pamięci
Przodka pana, który tu jeszcze z królem Krakiem
Przyjechałszy, z Mogoła raczył być Polakiem.”

Zarzucają wprawdzie Naruszewiczowi, że szydząc z pochlebców sam pisał ody pochwalne na cześć Czarotoryskich i Stanisława Augusta; lecz któż jest bez ale, zresztą może rozmiłowany w swoich dobroczyńcach widział w nich same zalety nie dopatrując wad jakie posiadali. Darujmy mu tę słabośćkę choćby za *Ody na obrazy starożytnych ludzi*:

..... „Byli lepsi ludzie.
Wyłoczeni na steplu starożytniej cnoty,
Piękniejszą mieli duszę pod barwą prostoty...
Płochy zawsze w obrotach świat koleją chodził,
Po złotym, z podlejszego kruszczu wiek się rodził;
Srebro miedzi plac dało: kto wie, nasze syny
Po żelaznych rodzicach? czy nie będą z gliny?”

A mówił to wszystko z przekonania, bo on ukochał tę przeszłość w której ludzie byli ulani jakby ze spiżu, poświęcający swoje osobiste „ja” dla dobra publicznego, jakże mu więc wydawać się musieli ci którzy dobro ogółu, szczęście całego kraju poświęcali dla własnego wyniesienia się, a często nawet dla jakiejś marniej przyjemności. Zwrócił się więc do tej lepszej przeszłości; zakopał wśród starych pergaminów. Jako proboszcz w Niemenczynie, a potem jako ko adyutor biskupstwa smoleńskiego przeglądał stare akta, nie raz z lamusu lub z pod strychu jakiego dworu wyciągał na poły pogryzione przez myszy foliały, a z nich dowiadywał się historyi wielu rodów polskich, litewskich i rusińskich, które były znakomitym materiałem do spisywania historyi narodu polskiego, który z rozkazu króla, ulubieniec jego miał dokończyć. Stanisław August, zafascynowany za Naruszewiczem, sprowadził go do Warszawy, osadził w zamku, urządził cał kancelaryę, w której pod okiem historyka porządkowano lu przepisywano nadsyłane ze wszystkich stron kraju a nawet i z zagranicznych archiwów wyciągi o naszej traktujące przeszłości. Tym sposobem powstało siedem tomów historyi o najdawniejszych czasach do wstąpienia Jagiellonów. Naruszewicz odrzucił wiele podań i legend, które, miesząc się do prawdy zaciemiały ją, czyniąc zamgloną i niejasną. Okieś badacza i krytyka spojrział w przeszłość, ocenił działania monarchów jak i ludzi stojących przy tronie, zwrócił uwagę na wpływ wielu rodzin we względy rozwoju państw, słowem, stworzył odrębny sposób pisania historyi czyli *sakso* opartą na jasnym i krytycznym poglądzie na przeszłość naszą. Nie dokończył jednak swęj pracy, inne prace powoływały go ku sobie; jako biskup smoleński a potem łucki zasiadał na sejmie czteroletnim od roku 1788, to jest od chwili jego otwarcia. Zdawało mu się, że obrady te i prace przyniosą społeczeństwu wielki pożytek, że to społeczeństwo ujrzy odrodzone i szczęśliwe! zawiedziony w swoich nadziejach gasł coraz więcej, aż wreszcie zmarł 1796. Ten co

poważnie patrzył w przyszłość, co śmiał się z goryczą, patrząc na teraźniejszość, zamilkł na zawsze widząc, iż ostatnia jego praca nie przyniosła żadnej na przyszłość korzyści.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Ciekawą niezmiernie kwestyą historyczną jest pochodzenie pierwotne tych ludów afrykańskich rasy białej, w starożytności noszących miana Libijczyków, Etyopów, Getulów, a dziś Berberów, Tuaregów i t. p. P. Lemercier dostarczył mi bardzo ważnych i dokładnych źródeł, z których zaczerpnąłem materiały do dziełka etnograficznego, które napisać zamierzam.

Tu wspomnę tylko w krótkości, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, Afrykanie biali należą do rasy Chamiatów, pochodzący z okolic Mezopotamii. Wędrowki ich na zachód poprzedziły o kilka wieków te, które następnie odbywały Semici i Aryowie. W czasach niezmiernie dawnych przedhistorycznych, Chamiaci rozsiedli się w południowo-zachodniej Europie i na północnych wybrzeżach Afryki. Tu Chamiaci przebywali spokojnie, aż póki Arabowie nie poczęli ich wypierać z siedzib etyopskich. Wówczas poruszyli się znów z miejsca, dążąc ku południowi, a przymusowe te wędrowki trwały przez czterysta lat, od VII do XI wieku ery naszej. Obecnie liczne plemiona, znane pod nazwą Berberów i Tuaregów, rozproszone są wzdłuż wybrzeży Atlantyku, od Tripolisu aż do San Paolo di Laonda i dalej w głębi lądu znaczne zajmują obszary.

Dla dokładności dodać należy, że pierwotna rasa Chamiatów dziś już mocno jest zmieszana z innemi, dużo krwi obcej dołączyło się do dawniejszej. Ziemie zamieszkałe przez te plemiona były kolejno schronieniem różnych ludów zwyciężonych. Egipcyan, Fenicyan, i Kartagińczyków, Rzymian, Wandalów i innych. Często też napotyka się tam tak zwanych Franków, jest to nazwa ogólna białych Europejczyków.

Tuaregowie, a pod tem mianem, w braku stosowniejszego, rozumieją wszystkie białe plemiona afrykańskie, Tuaregowie dzielą się na liczne państewka, któremi rządzą samowładnie zwierzchnicy, mający siłę wojskową w swych rękach. Takie państewka, *tiussi*, często rozpadają się jeszcze na drobniejsze prowincje, ulegające osobnym władcom.

Plemię Tademeketów miało dawniej główną siedzibę w pobliżu Tademeki, znacznego miasta, którego nazwa znaczy: „podobne do Mekki”. Podróżnik Barth odnalazł szczątki tego starożytnego grodu w okolicach Es-Suk. Ukryta pomiędzy dwiema wysokimi górami w głębi pięknej i żyznej kotliny, dawna ta stolica Tuaregów leżała o pięć dni drogi od załomu Nigru. Pięć dni drogi oddzielało ją również od Timisao, obronnej twierdzy na szczycie skalistego wzgórzka, gdzie według podania widać ślad konia Mojżesza. Na owęj skale znajduje się napis turecki z czasów podbojów muzułmańskich.

Podczas świetności swojej, Tademeka zwiedzana była i opisywana przez uczonych arabskich podróżników, jak El Bekri i Ibn Batuta. Niema żadnych pewniejszych wiadomości, kiedy i z jakiego powodu zniszczona została ostatecznie. To pewna, że musiały nastąpić gwałtowne jakieś przewroty, gdyż mieszkańcy opuścili miasto i udali się w kierunku południowo-zachodnim pod wodzą przodka dzisiejszego wodza Auaba. Dziś wojownicze to plemię osiedliło się w pobliżu miasta Timbaktu, jazda stanowi straż przyboczną szajki Achmeta el Bakai.

Taredży eg Auab, wódz Tademeketów, sam osobiście usadowił się wraz z oddziałem swoim pod naszymi oknami,

namiot jego ze skóry baraniej odznaczał się okazałym pękiem piór strusich. Przed namiotem zatknięty był na wysokiej tyce sztandar z bogatej tkaniny jedwabnej, przetykanej złotem. Przy sztandarze stał nieruchomo na warcie drab olbrzymi, trzymający w ręce włócznią potężną, żelaznem ostrzem opatrzoną i zdobną w żółtą kitę. W drugiej ręce żołnierz ten miał tarczę z drzewa akacyowego, obciągniętą skórą słoniową.

Za namiotem pasły się trzy przepyszne rumaki, wierzchowce wodza, z najszlachetniejszej rasy, utrzymywane z największym staraniem. Fredży eg Auab często je oglądał, pieścił, a wtenczas mogłem i jemu przypatrzeć się dokładniej; wódz ten afrykański potomek znakomitego rodu, i dziś piastujący godność panującego prawie pośród swego plemienia, zaciekał mnie niezmiernie.

Feredży eg Auab był to młodzieniec lat dwudziestu pięciu zaledwie, równie okazałej postawy, jak i podwładni jego; w całej postaci, w wyrazie twarzy, w ruchach miał on coś dziwnie szlachetnego, niepospolitego, jakby piętno arystokratycznego rodu. Na nieszczęście, zwyczajem Tuaregów, twarz ukrywał prawie ciągle pod zasłoną, powtarzając, iż „człowiek dobrze urodzony nie powinien pokazywać oblicza swojego”.

Udało mi się jednak podpatrzeć, czatując pilnie na chwilę sposobną, że młody wódz Tuaregów miał cerę białą, oczy szafirowe, pełne wyrazu, zęby przepyszne, rysy piękne i regularne. Nosił duże wąsy, a na głowie, wygolonej dokoła, zostawiał tylko pośrodku kosmyk bujny i długi, spleciony po chińsku. W uszach jego błyszczały złote kolczyki. Strój składał się z sukni czerwonej, bardzo obszernej, zwaną w Sudanie „dzelabą”, ze spodni, na sposób europejski skrojonych z tejże samej tkaniny, wszystko to przykrywał burnus, także szkarłatnej barwy, podszyty miękką kozłą skóreczką. Na głowie miał mykę, „czeczają” zwaną, owiniętą nakszałt turbanu lekką tkaniną, której jeden koniec twarz osłaniał szczelnie. Obuwiał nie używał, utrzymując, że mąż szlachetnego rodu piechotą nie chodzi. Stroju wodza dopełniał naszyjnik z pniażków złotych, oznakę godności stanowił pałasz o rękojeści złocistej, przypięty u boku, nadzwyczajnie długi, podobny do tych, które nosili rycerze średniowieczni.

Pomimo młodego wieku, Auab pozyskał już wielką sławę pomiędzy ludami Sudanu, zwłaszcza w Timbaktu i okolicach tego miasta szanowany był wielce. Słynął z męstwa, zarówno jak z roztropności. Nad wiek poważny, nie śmiał się nigdy, w postanowieniach bywał niezłomny, nieraz już i w wojnie się odznaczył, opowiadano o nim, że zwyciężał zawsze nieprzyjaciela, chociażby daleko mniejszą siłą od niego rozporządzał. Umiał też z mądrością niepospolitą wybierać miejsce stosowne na stoczenie boju, a przebiegłością i umiejętni podstępami ściągnąć tam przeciwników i łatwo potem pokonać.

Feredży eg Auab prawie za cudotwórcę uchodził wśród swoich wielbicieli. Opowiadano o nim np., że słuchem jedynie, przytykając ucho do ziemi, odkrywał źródła; że węchem znów, podnosząc piasek do nozdrzy, w noc najciemniejszą odnaleźć umiał ślady nieprzyjaciół, lub natrafić na drogę, jeżeli się zabłąkał; że na samym krańcu widnokręgu bystrym swym wzrokiem z łatwością odróżniał kozę od barana; i wiele podobnych rzeczy, powtarzano sobie o tym młodym wodzu.

On jeden z całego oddziału Tademeketów nie pali tytoniu, w jedzeniu i napoju jest bardzo wstrzemięźliwy. Jeździec z niego znakomity; czy to na dzielnym koniu, czy na wielbłądzie rasowym „mehara”, cudów zręczności dokazuje. Zdarzało mu się w razie pilnej potrzeby przebywać dwieście pięćdziesiąt kilometrów w przeciągu jednej nocy. Sam też ujeżdża swoje wierzchowce.

Miał on raz przepyszny kłacz, o bujnej, jedwabistej grzywie, o nóżkach stalowych, z tych co to według poetycznego wschodniego wyrażenia, „wiatr piją w biegu”; pochodziła w prostej linii od słynnej kłaczki proroka i tak samo, jak ta jej pra-pra-babka, oznaczona była gwiazdeczką białą

na czole. Na nieszczęście piękna ta klacz duże miała wady, między innemi nie chciała rzeki przepływać.

Należało jednak zmusić ją do tego. Cóż czyni Auab? Bierze naczynie wodą napełnione i trzy placki, pakuje to do torby, wiszącej u jego pasa. Wsiada na upartą klaczkę, jedzie na brzeg strumienia, staje na wybrzeżu, zwracając ją łbem do wody i czeka. Klacz, zwyczajem swoim, nie daje się w wodę wprowadzić, więc nasz wódz jej nie zmusza, tylko najspokojniej trzyma ją w tem samem położeniu, łbem zwróconą do rzeki, sam zaś nie zsiada z siodła i czeka cierpliwie. Gdy mu głód zacznie dokuczać, przegryza kawałek placka, popija wodą i nie rusza się z miejsca.

Nadszedł wieczór, a gdy ciemności okryły ziemię, ozwał się zwykły chór dzikich zwierząt, mieszkańców pustyni; szakale, hyeny, pantery, napełniały powietrze wrzaskiem przerażliwym. Klacz poczęła się trząść cała, trwoga ją przejęła, rwała uzdzenie, chciała zawrócić i uciekać, lecz jeździec trzymał ją mocno i cofnąć się nie pozwolił, ani łba odwrócić od wody.

Upływała godzina za godziną, klacz z przestrachu cała się pianą białą pokrywa, Auab nie popuścił jednak cugli ani na jedno mgnienie oka, czekał cierpliwie i w końcu przed samym wschodem słońca wola wytrzymała człowieka pokonała upór zwierzęcia, klacz nagle się porwała, wskoczyła do wody, z szybkością strzały na drugi brzeg przepłynęła; uznała się zwyciężoną.

Widzimy z tego przykładu, jak niepospolitą cierpliwością odznacza się Auab; posiada on oprócz tego wiele innych cennych przymiotów. Przedewszystkiem dla podwładnych jest panem sprawiedliwym, a nawet wspaniałomyślnym, co w Afryce nie często się zdarza. To też trzeba widzieć, jak go kochają i poważają; nie wahanoby się z pewnością, gdyby przyszło wybierać pomiędzy nim i samym sułtanem.

Część kraju, w którym zazwyczaj koczują Tademekeowie, obfituje w zwierzynę wszelkiego rodzaju, nie wyłączając największych i najdrapieżniejszych zwierząt, jakoto: lwy, pantery, hyeny, słonie, dziki, muflony, antylopy, gazy, strusie, żyrafy. Przebywa tam także mnóstwo drobniejszych stworzeń, zajęcy, królików, kuropatw i innego ptactwa. Istny to raj myśliwców.

Auab namiętnie lubi łowy i ma najpyszniejsze myśliwskie przybory, charty, ogary i oswojone gepardy, a także sokoły, rarogi i kruki tresowane do łowów. Utrzymuje licznych łowczych i sokolników.

Ten wódz Tuaregów żyje sobie wśród pustyni prawdziwie po magnacku, przypomina zupełnie możnych baronów, feudalnych panów średniowiecznych. Namiot jego skórzany urządzony jest naksztalt pałacu i liczny dworem otoczony. Nie brak tam giermków, paziów, trubadurów, jest muzyka wojskowa, złożona z bębnow, klarnetów i wszelkich innych narzędzi muzycznych, w Afryce znanych.

Gdyśmy po raz pierwszy złożyli odwiedzin szlachetnemu wodzowi w jego namiocie, powitał nas huczną fanfara swą orkiestry. Na nieszczęście muzykanci afrykańscy drażnią nieznośnie uszy europejskie powtarzaniem jednostajnych, a niezbyt miłych melodyj. Klarynet przebija powietrze żałosnemi tonami, przy których serce się kraje, bęben wtoruje hukiem szalonym, mniejsze bębni przerywają mu szybkimi uderzeniami, a rytm ich najmniejszego związku nie ma z innemi instrumentami i powstaje ztąd zamęt straszliwy dla nerwów ludzi cywilizowanych.

(d. c. n.)

W tym przestworze sinym, który otacza mnie kołem swajem, do ja kocham? morze niw zielonych... lasy... pola, które zrosił żółć oracza wiosną... Boże! ja to kocham wszystko — wszystko. Zorze poranków i cienie nocy, na ugorze szarym kwiatki białe, co jak wieśniacza dziatwa się wdzięczą... tak kocham to, że wszystko do łona garnałbym chciała, wzięwszy w ramiona.

Jak oblicze matki, co śmieje się do swojego dziecka, tak kocham to, i jak sny tajemnicze me własne, jak nadzieje moje i tęsknoty, w koło siebie rozrzucone czuję, gdzieś na niebie i ziemi, w powietrzu...

O! przyrodo ty moja ojczysta, jakaż moc czaru mnie z tobą wiąże? czym wodą go wypila z twych źródeł, czym z żaru twego słońca w krew wzięła? Lecz jest przemożna potęga jakaś, co biorąc mi serce, sprzęga z tobą.

Z tej prozy ułożyć trzy strofy wierszem rymowym, pierwsza o dziesięciu wierszach, dwie następne o sześciu.

Łamigłówka zgłoskowa (Palermitanka).

Z następujących zgłosek: ar—a—cha—ci—claw—cy—e—e—i—ke—kra—la—li—ma—na—mos—rek—rus—ryaz—rie—sa—wa—wiak—za—zra— ułożyć wyrazy: 1. Imię męskie. 2. Rzeka w Szwajcaryi. 3. Zwierzę górskie amerykańskie. 4. Starożytny król perski. 5. Imię biblijne. 6. Jezioro w Ameryce. 7. Imię męskie. 8. Wyspa z Archipelagu. 9. Taniec ludowy polski. 10. Lud starożytny, przez Boga wybrany. Początkowe litery, odczytane z góry na dół, utworzą nazwisko poety polskiego, końcowe powieściopisarza, obaj żyli w XIX wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go

Zadania konikowego:

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I za ledwo jar nastaje.
A na Świątki, na zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy.
(„Tatry” Wincenty Pol).

Łamigłówki głoskowej:

Sum — Palma — Ak — Rano — Tak — Abo.
Sparta — Maroko.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z odgłosów wiejskich, wiersz p. Gabryłę Jasieńską. — Wspomnienia z wakacyj, spisał Br. Kuczyńska (c. d.) — Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa p. M. J. Z. — Jaskinia Mamutowa (z drzew.) — Sławni w piśmiennictwie p. Z. Morawska. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek. Popędliwy Antos p. Ciocie Janię (z drzew.) — Do fiołka, wiersz p. Z. M. — Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. — Lalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

Popędliwy Antoś.

Antoś miał jedną tylko siostrzyczkę Rózię, o rok młodszą od siebie. Mama zawsze mu powtarzała, że dobry i rozsądny chłopczyk powinien ustępować dziewczynce, zwłaszcza młodszej. Ale Antoś na to nie zważał, ciągle się siostrzyczce sprzeciwiał, krzyczał na nią, a czasem... aż nam wstyd taką okropną rzecz powiedzieć, popychał i potrącał małą Rózię.

sadzawkę naokoło, to potem ja chcę być stangretem, i znowu ty trzy razy za konika obiegiesz sadzawkę.

— Nie, ja tak nie chcę — odrzekł kłótniwy Antoś — ty będziesz dziś koniem przez cały czas, a jutro dopiero pozwolę ci być stangretem.

— To ja nie będę się bawiła — zawołała Różia.

— Nie będziesz? — wykrzyknął Antoś i aż mu się oczy zaiskrzyły z gniewu — ja ci tu dam. Musisz się bawić, chcesz czy nie chcesz; zaraz cię zaprzęgnę i za-



Popędliwy Antoś.

Brzydkie takie kłótnie często się powtarzały i kończyły płaczem biednej dziewczynki. Mama bardzo się martwiła, strofowała Antosia surowo, karała nawet różnymi sposobami, nic to jednak nie pomagało. Chłopiec nie był zły, zwykle żałował tego, co zrobił, gdy już siostrzyczkę do płaczu doprowadził, przeproszał ją, obiecywał poprawę, a potem broił dalej toż samo. Bo Antoś był popędliwy, niecierpliwy i nie umiał tych brzydkich popędów powstrzymać.

Dnia pewnego oboje z siostrzyczką wyszli po obiedzie do ogrodu; Antoś chciał koniecznie bawić się w konie, bo on innej zabawy nie lubił. Różia zgodziła się, choć nie miała wielkiej ochoty, powiedziała jednak:

— Dobrze, będę koniem, ale jak trzy razy obiegnę

cznę ujeżdżać, jak niesfornego konika. Widziałem wczoraj właśnie, jak stangret Mateusz młodego żrebaka siwego zaprzęgał do wozu. Żrebak także nie chciał, wyrwał się, ale Mateusz sobie poradził, miał bicz porządny, mam i ja...

Byłby jeszcze nasz Antoś długo wyplatał podobne niedorzeczności, lecz Różia nie czekała, aż ją naprawdę zacznie gwałtem zaprzęgać, a może i biczem smagać i pędem uciekać zaczęła od niegrzecznego braciszka. On puścił się w pogoń za nią, nie sądźmy, ażeby naprawdę chciał jej co złego zrobić, pewnie sam nie wiedział, poco ją goni. Nic dziwnego jednak, że Różia się przstraszyła, była jeszcze mała, a Antoś nieraz tak brzydko do niej mówił, czasem i rączkę podniósł na nią.

Uciekała więc biedna dziewczynka, jak tylko mogła najprędzej, nie patrząc przed siebie, a pędząc tak bez tchu prawie nie spostrzegła, że bieży nad samym brzegiem sadzawki. Wtem nagle potknęła się, upadła, i tak nieszczęśliwie, że wpadła do wody. Sadzawka była głęboka, ojciec nieraz woził po niej łódką dzieci, one to bardzo lubiły, ale miały już tyle rozsądku, że same nigdy zbytecznie się do sadzawki nie zbliżały. Okropny ten przypadek dlatego tylko przytrafił się Rózi, że zapomniała zupełnie o Bożym świecie z wielkiego przestachu, umykając od Antosia.

Ach! teraz dopiero Antoś przeraził się najokropniej, gdy obaczył, jakie nieszczęście spotkało siostrzyczkę z jego winy, jedynie z jego winy. Stał na brzegu z załamanymi rączkami, zalany łzami, zaczął wołać ratunku, ale dom był daleko, któż go mógł posłyszeć. A Różia, po samą szyjkę zanurzona w wodzie, patrzała na niego tak żałośnie, że mu się serce krajało.

Chciał już wskoczyć do sadzawki, choć wiedział, że nie potrafi uratować siostrzyczki, gdy nagle ozwało się przeraźliwe szczekanie. Poczciwy pies Dżok usłyszał rozpaczliwe krzyki Antosia i biegł na pomoc. Jak strzała wskoczył do wody, pochwycił zębami sukienkę dziewczynki i w jednej chwili na brzeg ją wyciągnął.

Antoś, widząc siostrę bezpiecznie leżącą na trawie, pobiegł do domu i uwiadomił mamę o tem, co się działo. Z płaczem rzewnym wyznał swoje winę, chociaż mama tego w pierwszej chwili i słuchać nie chciała, bo śpieszyła na ratunek Rózi. Na szczęście nic jej się nie stało złego, zamoczyła tylko sukienkę i obuwie. Pomyślcie jednak, na czem się mogło skończyć, gdyby poczciwy i roztropny Dżok nie był nadbiegł w porę?

Antoś tak okropnie się przestraszył, tak szczerze żałował, że mama go już nawet nie łajała. I od tej pory popędliwy chłopiec zmienił się zupełnie. Jeszcze mu nieraz coprawda przychodziła ochota do kłótni z siostrą, lecz wnet przypominał sobie straszny wypadek i natychmiast się powstrzymywał.

Cztery kruki leciały przez ogród podczas tego zdarzenia, usiadły nad sadzawką, widziały, jak się sprzeczka rozpoczęła pomiędzy rodzeństwem, jak Różia uciekała przestraszona, jak wpadła do wody, i jak ją wreszcie piesek uratował. Przyleciały też potem do naszej redakcji i opowiedziały to wszystko, a my opisaliśmy w „Wieczorach” dla nauki innych dzieci.

Ciocia Jania.

DO FIOŁKA.

O fiołku miły, kwiateczku skromny,
Próżno się kryjesz w trawę głęboko,
Własnej zalety twojej niepomny,
Która cię zdradzi, choć zwodzisz oko;
Choć cię nie ujrzy, człowiek odgadnie,
Kędyś ukryty w twojem gniazdeczku,
I za to tylko, że pachniesz ładnie,
Zerwany będziesz biedny kwiateczku.

Lecz się tem nie smuć, fiołeczku miły,
Niech cię pociesza ta myśl wspaniała,
Że się przyczyniasz według twój siły,
By ludzkość z ciebie pożytek miała.

Z. M.

Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.

— Ejże Szaruś, co ty mówisz? czy ty naprawdę masz ochotę podróżować? — mówiła piękna, pulchna, o czarnem jak aksamit futerku pani Kociakowska do swego małoletniego jeszcze synka. — Nie chciałbyś też wprzód posłuchać, co mnie samęj się wydarzyło, gdy będąc w twoim wieku podobnie jak ty miałam do włości ochotę?

— Och! tak, pragnąłbym posłuchać, proszę, opowiedz twoje przygody, mamusi! — zamiauczał kotek Szaruś.

— Dobrze, a więc pójdź tu do mnie, połóż się, oprzyj główkę na mojem futerku i zachowaj się grzecznie, a będę opowiadała — rzekła pani Kociakowska. — Nie umiem ci dokładnie powiedzieć, gdzie był mój pierwotny dom rodzinny; ale pierwsze wrażenia, jakie pamiętam, dotyczą jakiejś podróży; jak sobie dzisiaj tłómaczę to, czego wówczas nie rozumiałam: byłam zapakowaną w dziwny sposób w pęk słomy, czy też siana, tak, że ani weź wydostać się z tej skrytki nie mogłam, i wraz z tym pękiem kołatałam się z boku na bok, podrzucana na różne strony, coś skrzypiało i piszczało koło mnie, aż znużona, mimo niepokoju, zasnęłam. Następnie, roztwierając oczy, ujrzałam się w rączkach matki, ładnej dziewczynki, nazywającej mnie najtkliwszymi imionami wśród serdecznych pieszczot:

— Kiziu, kizieńku, kotuleńku, moja najmilsza, najdroższa, ukochana będziesz teraz moją własną, jedyną, nigdy już nie opuścisz mię w życiu — mówiła dziewczynka. Było mi u niej doskonale, jakby u własnej mamusi, mimo to jednak po kilku miesiącach, podrosłszy znacznie, zapragnęłam zwiedzić świat, i wkrótce o pięknym wiosennym poranku wymknęłam się z domu. Przez pierwsze dwa lub trzy dni żywiłam się z polowania na ptaszki i myszki, a pragnienie zaspakajałam w spotykanych strumykach. Wreszcie przybywszy do jakiegoś miasteczka, ujrzałam pośrodku ulicy dziwną rzecz, coś podobnego do dużej klatki, umieszczonej na kołach: nie było nikogo w pobliżu, poszłam więc zobaczyć zblizka, coby to być mogło? W domu u mojej dawniej panienki był ptaszek w klatce, wiedziałam więc, do czego klatka służy. Ale w tej, którą teraz miałam przed sobą, dziwny uderzył mię widok: znajdował się w niej duży, szary kot, dwie białe myszy, i pięć ptaszków. Kot spał, jeden ptaszek siedział mu na głowie, drugi skakał po ogonie, a mysz, gryząc kawałek sera, umieściła się na kocim grzbiecie ku większej wygodzie.

— Dzień dobry, przyjacielu kocie! — zawołałam — masz widzę doskonale urządzone mieszkanie, bez trudu, gdy ci się jeść zachce, potrzebujesz tylko wyciągnąć łapkę, aby dostać zwierzynkę.

Kot otworzył zaspane oczy, westchnął ciężko i odparł:

— Och, jakże się mylisz, niestety! śliczne rzeczy, gdyby tak było jak mówisz, ale na nieszczęście...

Nie dosłyszałam więc, gdyż ręka ludzka schwyciła mnie w tej chwili za kark gwałtownie, i tenże człowiek rzekł:

— Patrzcie, jakiego pięknego kota schwytałem; jak raz będzie z niego towarzystwo dla naszego Lizusia, aby nie nudził się w klatce.

Zanim jednak wpuszczono mnie istotnie do tejże klatki, przez kilka tygodni wprzód ciężkie musiałam wieść życie. Codziennie dwaj ludzie wypuszczali wobec mnie w zamkniętej izbie ptaki i myszy, ale gdy ja naturalnie biegłam je pochwycić, oni mnie bili. Czasem, gdy udało mi się pogawędzić wolną chwilę z Lizusiem, dowiadywałam się, że będę tak długo bita, dopóki nie nauczę się cierpliwie znosić, aby myszy i ptaki siadały mi na głowie, biegały i skakały po mnie, dziobały, a wyuczwszy się dobrze tej sztuki, będę wożoną od miasteczka do miasteczka, tak samo, jak Lizus, w klatce, i pokazywana za pieniądze, przyczem zresztą co prawda, można dużo zwiedzić świata.

— Och! — odparłam z głuchym jękiem — widziałam go już aż nadto, po uszy mam światowych rozkoszy, cóżbym za to nie dała, gdybym mogła teraz wrócić do domu, do mojej panienki!

Lizus prawdę mówił: po długiej owej bitej nauce, wsadzono mnie wreszcie do klatki z Lizusiem, ptakami i myszami, i pojechaliśmy. Ludzie gromadzili się koło nas, a nasi panowie pokazywali nas i opowiadali, że Lizus i ja tak serdecznie kochamy ptaszki i myszy, że w żaden sposób jeść ich nie chcemy. Napróżno wołaliśmy nieraz, że to bajki, że owszem mamy wielki apetyt i zjemy je zaraz wszystkie, byle nie obawa strasznego bicia: ludzie, podziwiający nas, nie rozumieli naszego miauczenia. Żyłam tylko nadzieją ucieczki i wreszcie sposobna chwila nadeszła: wypuszczono nas z klatki na obiad, a wtem ktoś uchylił drzwi izby i wnet rzuciłam się w nie, jak szalona.

— Łapaj! Trzymaj! trzydzieści złotych nagrody temu, kto złapie i odda tę czarną kotkę!... — wołali moi panowie, wybiegłszy za mną, a ja uciekałam, uciekałam, co sił starczyło, tracąc rozum ze strachu, bo słyszałam kroki i krzyki mnóstwa goniących. Pędziłam tak długo nieprzytomna prawie, aż czując, że siły mię opuszczają, wskoczyłam na drzewo i wdrapałam się na wierzchołek w gęstwinę liści. Myślałam, że ocalałam, ale nie, jeden chłopak nie stracił mię z oczu, dogonił i stał teraz pod drzewem, mówiąc:

— Aha, panno Kocikowska, teraz jesteś moja, umiem ja wdrapać się na drzewo nie gorzej od ciebie — i to rzekłszy skoczył do drzewa i wkrótce był już przy mnie. Zmartwiałam, bo zeskoczyć nie mogłam, a wtem krak!... gałąź złamała się i chłopiec spadł na ziemię łęcząc. Żał mi go było, widząc, że ruszyć się nie może, ale pomóż mu było niepodobna, a musiałam myśleć o sobie; zesłam coprędzej z drzewa i pobiegłam do bliższej stodoły. Tam odetchnęłam trochę, umyłam się porządnie, otęczałam zakurzone futro i zasnąłam po

okrutnem zmęczeniu i strachu. Obudziwszy się usłyszałam jak człowiek jakiś mówił do drugiego, że mały Tomek, goniąc czarną kotkę, spadł z drzewa i złamał nogę, biedny chłopiec. Odpocząwszy należycie, wymknęłam się ze stodoły, bo głód mi dokuczał i biegłam długo; aż spostrzegłam jakiś dom i dziewczynkę we drzwiach:

— Kici kici! pójdz do mnie śliczna koteczko! — zawołała miłym głosem tak, że natychmiast do niej poszłam. Przytuliła mię, ugłaskała i napoiła mlekiem. Doświadczenie nauczyło mię już rozumu, to też poznawszy dobroć tej dziewczynki, zostałam pod jej opieką. W jej to domu znajdujemy się obecnie i radzę ci, mój synu, pomyśl dwa razy zanim go porzucisz dla zwiedzenia świata; korzystaj z mego doświadczenia i uwierz, że jakbądź dobrze mogłoby być gdzieindziej, przecież zawsze najlepiej jest w domu...

Umilkła pani Kocikowska, a małaletni synek zamyslił się głęboko.

LALKA

OPOWIEDZIAŁA ANNA Z.

(Dokończenie).

ROZDZIA VIII.

Straszny wypadek.

Śliczna pogoda, słońce świeci, któż się nie czuje wtedy szczęśliwym i wesołym? Świat cały staje się jasny, promienny, a każde stworzenie ku pięknemu niebu z wdzięcznością podnosi oczy. O! i ja kiedyś lubiłam słońce, i ja sądziłam, że ono tylko dobroczynny wpływ wyrzeć może; ale zdradziło mnie okropnie, stało się powodem mego nieszczęścia i odtąd je za wroga swego uważam. Stało się to w jednym z najpiękniejszych dni sierpniowych...

Od rana tłumno było na ulicach, wszyscy się wybierali na spacer, majówki, wszyscy pragnęli korzystać z prześlicznej pogody. Lecz ku południowi upał się zrobił nie do zniesienia. Słońce spuszczało z wysoka prostopadłe swe palące promienie i tak dopiekało niemiłosiernie, że zwarzone kwiatki pospuszczały smutnie główki, pozwijały barwne kielichy, ptaki zmęczone upałem uciekły i pokryły się w głębi najciemniejszych gałęzi. Do naszego ogródka, otoczonego murami, nie dochodził najłżejszy powiew wietrzyka.

Mnie niedbała Halinka pozostawiła od poprzedniego wieczoru na oknie. Ale nie miałam jej tego za złe, bo mogłam podziwiać wspaniały wschód słońca, o którym zawsze słyszałam i byłam go ciekawa. Lecz gdy się coraz goręcej robić zaczęło, służący nie zważając na moją obecność, spuścił roletę i oddzielił mnie od reszty świata.

Halinka nie wiedziała, gdzie się znajduję, a może nie szukała mnie wcale. Ja zaś korzystałam z mej samotności i oddawałam się spokojnemu rozmyślaniu. Ale gorąco promieni słonecznych, zwiększone przebijaniem się przez szkło, zaczęło mi coraz bardziej dokuczać. Było mi niedobrze, czułam łyzy płynące po twarzy, a tu ani

się gdzie schronić, ani zasłonić nie miałam siły. Nagle Staś, szukający swęj piłki, odchylił szybko firankę.

— O, dla Boga! laleczo, co się tobie stało? — zawołał przerażony — czemuś tak okropnie zmieniona? Mamo, Halinko, lalka ospy dostała.

Na to wołanie wszyscy się zbiegli, lecz widziałam jak Halinka, ujrzawszy mnie, że wstrętem wyciągniętą po mnie rękę cofnęła.

— Ładnie się opiekujesz swoim darem imieninowym — rzekła ciocia — czy nie wiedziałaś, że lalka jest zrobiona z wosku, a wosk na upale się topi? Teraz lalka zniszczona z twojej własnej winy.

Halinka się rozplakała.

— Okropna jest, ciociu — rzekła — nie mogę na nią patrzeć. Trzeba ją wynieść na górę.

Staś z żalem spojrział na mnie.

— Prawda, że bardzo zmieniona — rzekł smutnie — ale jej wyrzucać nie trzeba. Ona taka dobra, niech jeszcze przy nas zostanie.

I nie zostałam z domu wygnana, lecz los mój był odtąd bardzo smutny. Gdy się ujrzałam w zwierciadle, nie dziwiłam się wcale obojętności Halinki. Twarz moja, dawniej tak różowa i biała, przerażający przedstawiała widok. Wśród chropowatej szarej płaszczyzny błyszczała tylko para niebieskich oczu, ostatnia pozostałość mojej dawnej urody, którą się tak pyszniłam.

Z przerażeniem wyglądałam chwili spotkania z panem Fortunatem. Gdy w niedzielę go Staś przyprowadził, oczu ku niemu podnieść nie śmiałam; ale ten delikatny małżonek, uprzedzony już zresztą przez Stasia o mojem nieszczęściu, niczem mi wstrętu swego nie okazał. Lecz widzenie to nasze było ostatniem, nie wiem, czy dom nasz zupełnie opuścił, dość, żeśmy się już więcej nie spotkali.

Jeden prawdziwy przyjaciel pozostał mi w tym nieszczęściu; Staś, na którego sercu się nie zawiodłam, przybiegał do mnie często po lekcjach i starał się mnie pocieszyć, dając dobre rady. On to mi powiedział, że można być kochaną nawet straciwszy wdzięki, jeżeli się inne przymioty posiada. Namawiał mnie, bym się stała pilną, pracowitą, pożyteczną. Lecz ja, com całą młodość na próżniactwie, strojeniu się i w próżności spędziła, nie potrafiłam się już poprawić; aż usłyszałam raz smutny wyrok z ust zniechęconego Stasia:

— Darmo, nic z niej pożytecznego nie będzie. Dobrze ojciec mówi, że czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.

EPILOG.

Czas jeszcze jakiś po kątach i szufladach walałam się niepotrzebna i nie szukana, gdy przy jakichś świątecznych porządkach ów służący, który przez złą wolę czy nieuważę był głównym sprawcą mego nieszczęścia, wrzucił mnie z różnemi niepotrzebnemi gratami do kosza i wyniósł na tę górę, która była miejscem wygnania dla wszystkiego, co się stało ludziom niepotrzebne. Z początku oddawałam się czarnej rozpacz; daleka od wszystkiego, co kochałam i lubiłam, wylewając łzy

gorzkie, rozpamiętywałam zdarzenia mego życia. Przypomniałam sobie także nauki Stasia i radę, by w zajęciu szukać ulgi dla mego serca. Ztąd myśl mi przyszła, że może i tu jeszcze mogłabym coś takiego zrobić, coby się drugim przydało.

Szukając pomysłu, rozglądałam się wokoło siebie; w najbliższem mojem sąsiedztwie leżał otłuczony kałamarz, stare pióro i kilka kartek z kajetu, który kiedyś był własnością Halinki. Te przedmioty posłużyły mi do spisania dziejów mego krótkiego życia. Nie wiem, czy dobry chłopczyk, o którym myśląc, kreśliłam te słowa, przeczyta je kiedy, czy zdołają go zająć i zabawić, ale nagrodę téj pracy znalazłam już w niej saméj, bo koniec mego życia mniej ciężkim mi się wydał.

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Pstrąga z Tereku dla Różyczki białej).

sta	prąd	ka	Nie
wą	bądź	rze	ko
iesz	po	bo	cie

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 25-go.

Łamigłównki w kwadraciku:

A	R	A	K
R	O	M	A
A	M	O	R
K	A	R	A

Skrzynka do listów.

Grubasowi w Malinie. Ponieważ prenumerata Wieczorów kosztuje kwartalnie, na pocztę rs. 1 kop. 25, zatem na kupno „To-warzysza Pancernego,” który kosztuje kop. 50, pozostaje kop. 25 — posyłamy go przeto za zaliczką pocztową, która uisć się powinna przy odbiorze. Koszta opakowania i przesyłki porachowane w niej również zostaną.

P. Józefowi Krasowskiemu w Moskwie p. Millerowi w Sułotskiej dacy. Żądane książki, wysłane również za zaliczką pocztową wraz z rachunkiem, gdyż przysłane na nie rs. 2 i rs. 1 kop. 40 nie starczyły na ich opłatę wraz z przesyłką.

P. Oktawii Wyszynskiej w Paraszcy. Do zaprenumerowanych dla Pani w początkach zeszłego miesiąca „Lectures illustrées,” dołożyliśmy kop. 30 o których zwrot prosimy.

Zorzy w Stołudy. „Gołąbka pocztowa,” za pamięć dziękuje, żądane książki wysłane przez księgarnię p. Orgelbranda za zaliczką na resztę należności.

Uczennicom z pensyi p. Swołyńskiej, ubogie dzieci serdecznie składają dzięki za przysłane dla nich koszulki.